

Realści kontra neokonserwatyści

Koniec rewolucji Busha

Taki tytuł nosi artykuł Philipa Gordona z Brookings Institution, zamieszczony w ostatnim numerze „Foreign Affairs” (lipiec-sierpień 2006), stanowiący przekonującą ocenę aktualnej polityki zagranicznej prezydenta Busha juniora. Artykuł wieści powrót Ameryki do politycznego realizmu. Podobnie do wielu innych politologów Gordon przyznaje, że język ogłoszonej w marcu tego roku Strategii Bezpieczeństwa Narodowego przypomina wcześniejszy dokument pod tym samym tytułem z roku 2002, a zatem, że nadal mówi o Ameryce „w stanie wojny”, Ameryce szerzącej wolność i demokrację, ponieważ te są kluczem do bezpieczniejszego i bardziej pokojowego świata, że – słowem -- jest to znowu dokument utrzymany w tonie rewolucyjnym. Inaczej jednak niż np. Robert Blackwill (były doradca Busha juniora), Rich Lowry (red. nac. „National Review”) i Dov Zakheim (wysoki urzędnik Ministerstwa Obrony w latach 2001-2004) w numerze 84 „The National Interest” z lata 2006, Gordon nie zastanawia się, na ile sam dokument zwiastuje faktyczny powrót amerykańskiej polityki zagranicznej na tory realizmu, lecz po prostu stwierdza, iż utrzymanie kursu idealistycznego – jak inni powiedzą utopijnego – jest niemożliwe i przeto

Jakkolwiek administracja nie ma ochoty tego przyznać, amerykańska polityka zagraniczna już obecnie realizuje kurs bardzo różny od tego, jakim podążała za pierwszej kadencji Busha. Rzeczywistość budżetowa, polityczna i dyplomatyczna, którą ekipa rządząca za pierwszej kadencji Busha starała się ignorować, musiała w końcu zostać wzięta pod uwagę.

Krótko rzecz ujmując: nie sposób by rząd nie uwzględnił faktu, iż w chwili objęcia władzy dysponował nadwyżką budżetową w wysokości ponad 200 miliardów dolarów rocznie, które miały być użyte na redukcję długu publicznego (wynoszącego wówczas ponad 8 bilionów dolarów), a dziś deficyt budżetowy przekracza 400 miliardów dolarów rocznie; nie sposób nie widzieć jak różne od zapowiadanych okazały się skutki inwazji na Irak pod pretekstem unieszkodliwienia nieobecnej tam broni masowego rażenia oraz równie nieobecnej Al Kaidy i skutkiem tego jak prestiż Ameryki ucierpiał na świecie (a prezydent Bush jak stracił w samej Ameryce); nie sposób też prowadzić jakiegokolwiek polityki międzynarodowej – poza polityką bezwzględnej siły w skali globu, nawet bez poparcia własnego społeczeństwa – nie licząc się z opinią innych centrów politycznych i rezygnując ze współpracy dyplomatycznej, czy to w kwestii zwalczania terroryzmu, czy w kwestii Iranu oraz Korei Północnej, czy też w kwestii rzekomych lub rzeczywistych zmian klimatycznych na Ziemi, albo pomocy dla Afryki, albo tragedii w sudańskim Darfurze.

We wszystkich tych sprawach amerykańskie stanowisko uległo mniejszej lub większej, ale zawsze widocznej zmianie w ciągu ostatniego roku, przede wszystkim zaś we wszystkich tych sprawach administracja Busha zgodziła się wrócić do międzynarodowego dialogu i uwzględniania zdania innych. Nie jest oczywiście pewne, czy te sygnały zmiany okażą się trwałe, ale na to wygląda sądząc po tarapatkach, jakie na siebie ściągnęły Stany Zjednoczone –

zwłaszcza na Bliskim Wschodzie – mimo bycia potęgą na skalę nieznaną w historii, oraz po zasadniczej w tej materii zgodności opinii wpływowych amerykańskich politologów.

Wszakże Gordon nie odrzuca możliwości powrotu USA na drogę krucjaty demokratycznej i politycznego idealizmu. Gdy zaczynała się pierwsza kadencja prezydenta Busha młodszego, w jego administracji zasiedli także wojowniczy, neokonserwatywni zwolennicy demokratycznej krucjaty i „przebudowy” Bliskiego Wschodu – w tym miejscu Gordon wymienia Paula Wolfowitza, Douglasa Feitha i Johna Boltona – ale przewagę mieli zwolennicy kursu realistycznego, niechętnego jednostronnie podejmowanym akcjom siłowym. Wśród tych ostatnich pierwsze skrzypce grał na pewno sekretarz stanu Colin Powell, ale do tej grupy należała wówczas także Condoleezza Rice – protegowana „ikony realizmu politycznego” Brenta Scowcrofta – i wiceprezydent Dick Cheney, za czasów Busha starszego przeciwnik obalenia Saddama Husseina w wyniku wojny w Zatoce Perskiej. Sam prezydent Bush przyrzekał „skromną” politykę zagraniczną, różną od interwencjonizmu Billa Clintona, wystrzegając się użycia siły do realizacji celów zgodnych z interesem narodowym i wynikającą z tego właśnie interesu, a nie humanitarnego idealizmu.

Neokonserwatyści, zamach terrorystyczny z 11 września 2001 oraz poczucie siły Ameryki wprowadziły USA na tory „rewolucyjnego” idealizmu. Dziś nie ma już w rządzie Wolfowitza, Feitha i Boltona, sekretarz stanu Rice „ogłosiła nadejście czasu dyplomacji”, u jej boku w Departamencie Stanu znaleźli się pragmatycy Robert Zoellick i Nichols Burns, ale nie znaczy to, że w administracji nie zachowali wpływu wojowniczy przeciwnicy nowego nurtu. Najbardziej widocznym wśród takich przeciwników jest dziś odmieniony wiceprezydent Cheney. I nie można z całą pewnością wykluczyć, że kolejny poważny atak terrorystyczny na Amerykę, albo powołanie w końcu zdolnego do działania rządu w Iraku oraz zakończenie tamtejszej wojny domowej, potraktowane jako dowód trafności całej strategii, nie zniosą znowu Ameryki na burzliwe wody „rewolucji”.

Tu warto jeszcze odnotować zupełnie inną perspektywę, z której można patrzeć na politykę iracką prezydenta Busha. Trudno wątpić, że ku humanitarnemu idealizmowi pchała prezydenta jego bliska ewangelikalizmowi religijność.¹ Ale zdaniem Kevina Phillipsa, powtórzonym przezeń w „The American Conservative” z 17 lipca 2006 i wcześniej wyrażonym w jego ostatniej książce „American Theocracy: The Peril and Politics of Radical Religion, Oil, and Borrowed Money in the 21st Century”, absolutnie zasadniczym motorem amerykańskiej inwazji była chęć zawładnięcia iracką ropą i tym sposobem nie tylko zapewnienia sobie dostępu do tego niezwykle bogatego źródła surowca, ale również likwidacji dyktatu krajów zjednoczonych w OPEC.² Phillips nie przejmuje się, że pogląd ten jest konsekwentnie traktowany przez administrację Busha jako chore uleganie teoriom spiskowym, nie interesuje go rewolucyjny idealizm części otoczenia Busha, nie interesują go starania lobby izraelskiego o doprowadzenie do przebudowy Bliskiego Wschodu, interesuje go natomiast amerykańskie lobby naftowe oraz sytuacja na światowym rynku ropy. Zauważa też, co miało ułatwić pomysł inwazji Iraku, że około 55% wyborców, którzy głosowali na Busha, należy do bliskiej ewangelikalizmowi chrześcijańskiej prawicy, generalnie popierającej Izrael i mającej za wroga islam.

Phillips – jak przypomina recenzent jego ostatniej książki, prof. Alan Brinkley z Uniwersytetu Columbia, w „New York Times” z 19 marca – był tym jedynym komentatorem politycznym, który w końcu lat sześćdziesiątych podał przyczyny i przewidział przyszłe triumfy Partii Republikańskiej i z którego zdaniem należy się liczyć, choć rzecz jasna nie ze wszystkim trzeba się zgadzać. W kontekście Iraku Phillips zwraca uwagę, że żaden prezydent

amerykański nie był tak blisko związany z lobby naftowym oraz władzami firm naftowych jak obydwaj Bushowie, przytacza głosy przedstawicieli przemysłu naftowego, przytacza też przewidywane przed inwazją korzyści firm amerykańskich, jakie te odniosą w wyniku przejścia przez USA złóż irackich, i w końcu omawia wagę nieskrępowanego dostępu do ropy w bliższej i dalszej przyszłości w świetle oczekiwanego światowego kryzysu na rynku paliw płynnych. Ciekawego wydźwięku nabiera w tym kontekście fakt, iż wprawdzie Pentagon nie ochronił Muzeum Narodowego w Bagdadzie przed grabieżami po zajęciu miasta przez wojska amerykańskie, ale ochrony takiej doświadczyło natychmiast Ministerstwo Ropy Naftowej, posiadacz jakże cennych dla amerykańskich specjalistów map złóż gazu i ropy oraz danych o produkcji ropy w Iraku.

I bez względu na to ile jest słuszności w tezie Phillipisa, sprawa dostępu do ropy jest jednym z zasadniczych wyznaczników polityki międzynarodowej wszystkich większych państw od około 30 lat. Dziś można mieć nadzieję, że sytuacja w Iraku przekonała Amerykę by zapewnić sobie bezpieczeństwo energetyczne w sposób bardziej subtelny niż to podsuwa myślenie rewolucyjne.

Chyba nieudana prezydentura wielkiej zmiany

Znany już Czytelnikom tej rubryki profesor Uniwersytetu Harvarda, Joseph Nye junior, spojrział na prezydenturę Busha młodszego w tym samym, lipcowo-sierpniowym numerze „Foreign Affairs”, z szerszej perspektywy. Wszyscy obserwatorzy są zgodni, że z prezydenta Busha przebija chęć przejścia do historii jako prezydent, który zmienił bieg historii, a nie jako prezydent kontynuacji, jak np. Bill Clinton. „Wielka zmiana” miała polegać -- jeśli wrócić do Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, opublikowanej w 2002 roku, i oprzeć się na podsumowaniu Nye’a -- na:

częściowej rezygnacji USA z polegania na układach i instytucjach międzynarodowych; przekształceniu tradycyjnego prawa do działań wyprzedzających w nową doktrynę wojny prewencyjnej; opowiedzeniu się za wymuszoną demokratyzacją jako drodze do rozwiązania problemu bliskowschodniego terroryzmu.

Nye, za historykiem Johnem Lewisem Gaddisem słusznie pisze, że tę świeżo przyjętą doktrynę Busha można określić jako „kombinację Fukuyamy i siły”, potraktowaną przez prezydenta jako środek uczynienia terroryzmu przestarzałym dzięki rozszerzeniu demokracji na cały świat. Wszystkie składniki nowej strategii zostały albo szybko skompromitowane, albo ich zasadność została poddana w wątpliwość poprzez niemożność znalezienia w Iraku ani broni masowego rażenia, ani dowodów powiązania Husseina z atakiem z 11 września i, przede wszystkim, przez sytuację, jaką inwazja wytworzyła w Iraku. A jednak warto powtórzyć pytanie, czy w końcu pozytywny finał kryzysu irackiego nie zrehabilituje strategii ogłoszonej w 2002 roku.

Lapidarnie rzecz ujmując, od wyjścia z twarzą z Iraku do zaakceptowania strategii, która doprowadziła do kryzysu irackiego, droga jest daleka. Według prof. Nye’a zbyt chyba daleka, by prezydentura Busha juniora okazała się historycznym sukcesem. By ocenić szanse Busha, Nye dokonuje krytycznego przeglądu wszystkich sześciu amerykańskich prezydentur XX wieku. Pisze Nye:

Podstawowa amerykańska strategia polityczna w XIX wieku była prosta, a jej środki były w głównej mierze jednostronne – unikać wplątania się w europejski system równowagi sił, zdominować zachodnią półkulę oraz mieć drzwi otwarte na handel z Azją. Ale z nadejściem wieku XX przemysłowa potęga Stanów Zjednoczonych przewyższyła niemiecką i brytyjską, a rewolucja w dziedzinie transportu przybliżyła Nowy Świat do Starego. Warunki te sprawiły, że w ciągu ostatniego stulecia sześciu kolejnych prezydentów po kolei starano się dokonać wielkiej zmiany w strategii USA wobec reszty świata.

Według Nye'a tylko prezydentom Franklinowi Rooseveltowi i Trumanowi udało się dokonać trwałych zmian w podstawowej strategii USA. Tylko oni potrafili właściwie wykorzystać zaistniały kryzys międzynarodowy, przewidzieć kierunek i tempo wydarzeń, odpowiedzieć strategią adekwatną do wydarzeń i przy tym wykonalną, zdobyć – i utrzymać -- poparcie w kraju i za granicą, poparcie ogarniające różne środowiska, grupy nacisku itp. Umieili także zastosować właściwą kombinację środków „miękkich” i „twardych”. Do tego wszystkiego należy dodać osobiste przymioty obydwu prezydentów – ich talent organizacyjny oraz umiejętność jednoczenia ludzi wokół siebie, zdolność nie tylko komunikowania się ze społeczeństwem, ale też jego stałego „edukowania”, czyli wyjaśniania społeczeństwu bieżącej sytuacji w świetle założonych celów – i nade wszystko – prezentowania jasnej oraz przekonującej wizji politycznej, trafnie łączącej ideały z możliwościami i ryzyko z realizmem.

Zwłaszcza Franklin Roosevelt posiadał te wszystkie przymioty. Zaś obraz Busha juniora, jaki ten sam sobie maluje, zauważa prof. Nye, przypomina najbardziej prezydenta Wilsona. Jeden był, drugi jest religijny i moralizatorski. Ich światy były czarno-białe, bez odcieni szarości. Obydwaj nie umieli pogodzić ideałów z możliwościami realizacyjnymi. Obydwaj woleli ignorować fakty niezgodne z ich oczekiwaniami, zamiast się na ich podstawie uczyć i modyfikować przyjętą strategię. Bush jest przy tym gorszym mówcą niż był Wilson, jego talenty organizacyjne są słabe. Szczęśliwie jednak zdaje się być mniej pewny siebie od Wilsona i nie ma w nim wyniosłości Wilsona, a to może oznaczać, iż – srodze doświadczony – nie tylko zaczął, ale też będzie się bardziej liczyć z faktami.³

Co z Irakiem

Obserwowanie, jak Ameryka sobie radzi, a właściwie nie radzi, w Iraku nie skłaniało przez długi czas do cienia optymizmu. Ale, sądząc po opiniach politologów, publikowanych w najpoważniejszych czasopismach, sytuacja powinna ulec swego rodzaju poprawie. Zbyt dużo ukazało się artykułów analitycznych i zarazem proponujących zmianę polityki amerykańskiej wobec tragedii Iraku, a przy tym artykułów, z których można wywieść w miarę spójne wnioski dotyczące przyszłości, by na jakąś pożądaną zmianę w polityce amerykańskiej wobec Iraku nie zacząć liczyć. W niniejszym krótkim *resumé* oprę się na dyskusji zawartej w „Foreign Affairs” (ograniczę się przy tym do jej wersji już opublikowanej, pomijając kontynuację debaty na stronach elektronicznego biuletynu czasopisma).

W tegorocznym, marcowo-kwietniowym numerze czasopisma Stephen Biddle z Rady Stosunków Międzynarodowych⁴ poddał zarówno politykę USA wobec Iraku, jak i dominujący ton dyskusji o niej, zasadniczej krytyce, uznając, iż te wiodą Amerykę do nikąd (jeśli nie do klęski). Dominuje nurt postulujący patrzeć na Irak jak na kolejny Wietnam – rzekomo ma wystarczyć wyciągnięcie wniosków z wojny w Wietnamie, co ma pozwolić na lepsze poprowadzenie w gruncie rzeczy podobnej wojny w Iraku. Owa „wietnamizacja”

konfliktu oznacza w szczególności jego „irakizację”, to znaczy wzmocnienie irackich sił bezpieczeństwa i przerzucenie na nie ciężaru pokonania powstańców siejących śmierć i zniszczenia w Iraku. Problem w tym, że w Iraku nie ma powstania – pisze Biddle – toczy się natomiast, na razie na małą skalę, wojna domowa. Wzmocnienie armii i policji szyicko-kurdyjskiej dolewa tylko oliwy do ognia konfliktu z sunnitami, dając tym pierwszym środki do zintensyfikowania mordów na sunnitach, dokonywanych nie tylko przez szyitów z szyickiej milicji, niekontrolowanej przez rząd Iraku, ale także przez szyitów z oddziałów rządowych. Z kolei włączenie do sił wojskowych i policyjnych odpowiedniej liczby sunnitów byłoby równoznaczne z wprowadzeniem do nich konia trojańskiego, który sparaliżowałby iracką armię i policję. Słowem, kontynuacja „irakizacji” najpewniej doprowadziłaby do zintensyfikowania trwającej już wojny domowej, oddalając możliwość kompromisu między szyitami, Kurdami i sunnitami w nie dającą się przewidzieć przyszłość. W tej sytuacji Biddle uznaje za wskazane zwolnienie tempa rozbudowy sił wojskowych i policyjnych Iraku, a zatem swego rodzaju odmowę pomocy w budowaniu bezpieczeństwa państwa, ewentualne zagrożenie Irakowi wycofaniem stamtąd oddziałów amerykańskich, oraz takie manipulowanie w przyszłości rozkładem sił szyitów, Kurdów i sunnitów w armii i policji, by wszystkie te trzy grupy zmusić do rozpoczęcia prawdziwych i wiążących negocjacji.

Lipcowo-sierpniowy numer „Foreign Affairs” przyniósł głosy Larry’ego Diamonda z Instytutu Hoovera, Jamesa Dobbinsa z RAND Corporation, Chaima Kaufmanna z Lehigh University w Bethlehem w Pensylwanii oraz Lesliego Gelba, emerytowanego prezydenta Rady Stosunków Zagranicznych, którzy poddali ocenie tezy Biddle’a i zaproponowali własne rozwiązania. Biddle’owi dano przywilej podsumowania dyskusji.

Wszyscy dyskutanci zgadzają się, że powodzenie obecnej amerykańskiej strategii w Iraku jest mało prawdopodobne. Wszyscy także przyznają, że w Iraku toczy się wojna domowa, na razie na małą skalę.⁵ Diamond zwraca przy tym uwagę, że jakkolwiek mamy do czynienia w Iraku przede wszystkim z wojną domową, to także trwa w tym kraju powstanie narodowe przeciw, jak to widzą powstańcy, okupacji amerykańskiej. Jest to powstanie sunnickie, a zatem grupy najliczniejszej, od początku przekonanej, że Stany Zjednoczone chcą pozostać w Iraku na zawsze, by zachować pełną kontrolę nad krajem i jego ropą. Zdaniem Diamonda Ameryka popełniła wielki błąd nie rozpoczynając rozmów z sunnitami i nie ustalając z nimi oraz rządem – jakkolwiek elastycznego – to jednak planu stopniowego wycofania swojej armii z Iraku. Błąd ten nadal czeka na naprawienie, ale już przyczynił się do powstania krwawego konfliktu między szyitami oraz sunnitami.

W odpowiedzi na postulat Biddle’a oparcia przyszłej strategii USA na manipulowaniu stopniem poparcia Ameryki dla każdej z trzech grup mieszkańców Iraku, i tym samym na zróżnicowaniu ilości i rodzajów uzbrojenia przekazywanego tym trzem grupom, Diamond, Dobbins i Gelb przedstawiają swoje propozycje naprawy amerykańskiej strategii.⁶ Jak podsumowuje Biddle:

Diamond sugeruje zwrócenie się do innych krajów UE i do ONZ z prośbą o pomoc w negocjacjach, Dobbins szuka możliwości oparcia się na regionalnej współpracy sąsiadów Iraku, natomiast Gelb jest za wsparciem przez USA idei zdecentralizowanego Iraku z gwarancjami bezpieczeństwa oraz gwarancjami finansowymi dla sunnitów.

W każdym przypadku zakładanym celem jest osiągnięcie trwałego porozumienia między szyitami, Kurdami i sunnitami, z konstytucyjnie ustanowionym podziałem władzy między te grupy. Propozycja Kaufmanna jest nieco podobna do propozycji Gelba, tyle że jest

nieporównanie skromniej zarysowana – politolog uznaje, że sprawy zaszły zbyt daleko, by Stanom Zjednoczonym pozostawało cokolwiek innego niż misja ograniczenia liczby ofiar przy nieuniknionych przemieszczeniach wielkich grup ludzkich z jednych regionów Iraku do innych.⁷ Kaufmann uważa, że do takich wielkich migracji wewnątrz Iraku dojdzie na pewno, ponieważ Irakijczycy nie mają innego wyjścia, jeśli chcą żyć względnie bezpiecznie, jak utworzyć regiony o możliwie jednorodnym składzie ludnościowym – szyickie, kurdyjskie i sunnickie. Nie widzi przy tym możliwości, by migracjom towarzyszyło jakiegokolwiek porozumienie polityczne między zwaśnionymi grupami.

Obraz, jaki wyłania się ze wszystkich pięciu opracowań, a także wspomnianych wcześniej opinii opublikowanych przez *The National Interest* z lata 2006 (zwłaszcza głosu Roberta Blackwilla), jest stosunkowo jednoznaczny. Po pierwsze, „wietnamizacja” Iraku była błędem. Po drugie, Ameryka nie ma możliwości, a takie propozycje również były rozważane w USA, „balkanizacji” Iraku, czyli wymuszenia środkami militarnymi pokoju podobnego do tego zaprowadzonego na Bałkanach – byłaby to operacja zbyt kosztowna i wymagająca zaangażowania zbyt wielu żołnierzy amerykańskich przez zbyt długi czas⁸. Po trzecie, błędem było zahamowanie pomocy w odbudowie Iraku i przeznaczenie większości środków na dobrojenie sił irackich; złe skutki miało nie wpuszczenie do Iraku przedsiębiorstw francuskich, niemieckich i rosyjskich. I po czwarte, podejście realistyczne powinno polegać na próbie doprowadzenia do uczynienia z Iraku państwa federalnego, z lokalnymi rządami – szyickim, kurdyjskim i sunnickim – o stosunkowo szerokich kompetencjach, z dostatecznie silną armią, gwarancjami bezpieczeństwa dla każdej części państwa oraz konstytucyjnie zagwarantowanym udziałem sunnitów w obecnych i przyszłych zyskach z przemysłu naftowego i gazowego, odpowiadającym ich procentowemu udziałowi w populacji całego Iraku.⁹ Próba taka powinna zostać oparta na wielu sposobach, w tym – zapewne -- sposobach zaproponowanych w pokrótce omówionej dyskusji na łamach „*Foreign Affairs*”. A jeśli taka próba się niestety nie powiedzie, pozostaje przynajmniej propozycja Chaima Kaufmanna.

Realizm w „*The National Interest*”

Rok temu „*The National Interest*” obchodził swoje dwudziestolecie. Kwartalnik, jak wiadomo od początku związany przede wszystkim z realistycznym nurtem w politologii, miał także łamy szeroko otwarte dla wszystkich neokonserwatystów. Jeszcze na początku roku 2005 w Radzie Redakcyjnej czasopisma zasiadali E. Cohen, M. Decter, C. Krauthammer i R. Perle. Zasiadał w niej także F. Fukuyama, który w owym mniej więcej czasie ogłaszał swój rozbrat z neokonserwatyzmem. W lecie 2005 roku „*The National Interest*”, wydawany przez Centrum Nixona, ogłosił przy okazji obchodzonego dwudziestolecia zdecydowane opowiedzenie się za realizmem politycznym. Wszyscy neokonserwatyści zniknęli z ciał redakcyjnych kwartalnika. Odeszli też, m.in., Z. Brzeziński i w zamierzchłej przeszłości związany z neokonserwatyzmem S. Huntington. Wśród nowych członków Rady Doradczej znaleźli się znani realiści, m.in., F. Iklé, J. Mearsheimer i H. Sonnenfeldt (ten od „doktryny Sonnenfeldta z czasów Kissingera – sekretarza stanu”).¹⁰ Henry Kissinger został honorowym przewodniczącym zespołów redakcyjnych, James Schlesinger przewodniczącym Rady Doradczej. Godność wydawcy¹¹ objął prezydent Centrum Nixona, Dimitri Simes, absolwent historii na Uniwersytecie Moskiewskim z roku 1972, później politolog w Moskwie, od roku 1973 w USA, gdzie zdobył sobie uznanie samego Richarda Nixona, któremu doradzał oraz towarzyszył w kilku podróżach zagranicznych. Nowym redaktorem naczelnym został Nikolas Gvosdev, który doktoryzował się w Oxfordzie jako stypendysta fundacji Rhodessa (podobnie do niemałej części amerykańskiego opiniotwórczego establishmentu). Do grona redaktorów

współpracujących zostali dołączeni pierwsi komentatorzy zagraniczni: Aluf Ben z Izraela i Alexey Pushkov z Rosji (później doszli jeszcze Greg Sheridan z Australii i Pang Zhongying z Chin).

Ostatnie numery „The National Interest” potwierdzają obranie przez redakcję realistycznego kursu. Kolejne numery przynosiły krytykę aroganckiego idealizmu neokonserwatystów, jego łagodniejszej wersji prezentowanej przez administrację, jak też realistyczne recepty co Ameryka ma począć w Iraku. Taki ton miał wspomniany wyżej wielogłos z ostatniego numeru kwartalnika. Taki ton ma też wielogłos dotyczący polityki wobec Iranu. Przy tym, co bardzo ważne, dyskusje o Bliskim Wschodzie mają za swego rodzaju tło szerszą debatę nad nadchodzącym kryzysem rynku paliw płynnych, a to znaczy debatę o znaczeniu dziś podstawowym, ogarniającą swoim zakresem politykę USA wobec Rosji, Chin, Indii oraz wszystkich krajów produkujących ropę. „Petropolityce”, czyli geopolityce mającej za punkt wyjścia problemy rynku paliw płynnych, na pewno poświęcę część kolejnego odcinka. W każdym zaś razie, wygląda na to, że „The National Interest” widzi w przyszłej Ameryce hegemonia realistycznie uwzględniającego interesy „wschodzących” potęg światowych.

¹ Zjawisku ewangelikalizmu i jego wpływowi na Busha poświęciłem już wcześniej niemało miejsca, nie będę więc tego wątku rozwijać.

² Phillips daje w swojej książce wyraz przekonaniu, że Ameryka stoi przed wielkim kryzysem, u którego źródeł są przemiany religijne, czyli „ewangelikalna” radykalizacja chrześcijańskiej prawicy, która ogarnęła szerokie kręgi społeczeństwa, zła polityka na polu zapewnienia Ameryce bezpieczeństwa energetycznego oraz niebotyczny dług Ameryki – zarówno obecny dług państwa, jak i ogromne przyszłe zadłużenie z tytułu ubezpieczenia zdrowotnego i zobowiązań socjalnych (30-40 bilionów dolarów), nadto deficyt handlowy, długi korporacyjne, stanowe itd. (szacuje się, o czym była mowa w jednym poprzednich odcinków naszego przeglądu, że taki całkowity dług, obecny i przyszły, wynosi około 70 bilionów dolarów).

³ Według wiarygodnych informacji, prezydent Bush zbyt polegał na informacjach udzielanych mu przez Rumsfelda, nieświadomy klimatu strachu, jaki sekretarz obrony stworzył w Pentagonie, zniechęcając swoich wyższych i niższych podwładnych do szczerego wyrażenia ich opinii. Zupełnie zlekceważył opinię CIA sprzed inwazji Iraku, przestrzegającą przed politycznymi i kulturalnymi trudnościami, z jakimi przyjdzie się zmierzyć w dziele stabilizacji sytuacji po zakończeniu działań wojennych. Jak przyznał szef biura Powella, pułkownik Wilkerson, Bush nie interesował się szczegółami planowania działań po zakończeniu akcji militarnej.

⁴ ang. *Council on Foreign Relations*.

⁵ Owa „mała skala” to od 500 do około 1000 irackich ofiar miesięcznie. Według wiarygodnych danych, od początku inwazji na Irak liczba zabitych Irakijczyków przekroczyła 40 000.

⁶ Przy tym, Diamond uznaje postulaty Biddle’a za niebezpieczne, ponieważ raczej grożące pogłębieniem się konfliktów wewnętrznych w Iraku, a zatem pełną jego destabilizacją, niż dające szanse na uzdrowienie tam sytuacji.

⁷ Iracki Czerwony Krzyż ocenia, i jest to zapewne liczba zaniżona, że już 89 000 Irakijczyków to uchodźcy.

⁸ Akcje wojskowe w Bośni i Kosowie wymagały od NATO wprowadzenia tam 100 000 żołnierzy, gdy ludność tych krajów stanowi mniej więcej 1/5 ludności Iraku.

⁹ To ostatnie można osiągnąć, jak proponuje Gelb, podporządkowując politykę dotyczącą przemysłu naftowego i gazowego rządowi centralnemu. Przypomnijmy, że problem sunnitów polega na tym, iż na terenach przez nich zajmowanych nie ma złóż gazu i ropy. Około 80% gazu i ropy jest na szyickim południu, zaś ich reszta na kurdyjskiej północy.

¹⁰ Wypada w tym miejscu podkreślić, że Dimitri Simes wystąpił w ostatnim numerze „The National Interest” ze zdecydowaną, obiektywną i zasadniczą obroną prof. Mearsheimera, współautora obok prof. Stephena Walta słynnego opracowania opisującego izraelskie lobby w USA, przed skandalicznym zarzutem antysemityzmu sformułowanym m.in. przez Eliota Cohena. Simes stwierdza bez ogródek, że wszystkie zasadnicze tezy Mearsheimera i Walta są łatwe do udowodnienia, że w USA istnieje potężne lobby proizraelskie, które wspólnie ze swoimi sprzymierzeńcami ma istotny wpływ na politykę USA wobec Izraela i w ogóle Bliskiego Wschodu. Uznaje za nonsens to, iż krytyków Mearsheimera i Walta obraża samo postawienie pytania, czy amerykańskie poparcie udzielane Izraelowi mogło kiedykolwiek nie leżeć w interesie USA. Przyznaje, że w USA trudno o

otwartą dyskusję nad wspomnianym pytaniem. Co napisawszy ma pełne prawo dodać, że *jako osoba, która doświadczyła antysemityzmu w Związku Sowieckim, byłbym rad znalazłszy [w opracowaniu] więcej zrozumienia dla żydowskiego losu w Europie i na Bliskim Wschodzie, nawet bez wspomnienia o Zagładzie*. Simes jakby zapomniał w tym miejscu, że temat opracowania był zupełnie inny (piszący te słowa musi jednak przyznać, że jemu z kolei zabrakło w tekście jasnego stwierdzenia, iż Europejczykom i Amerykanom są Żydzi o tyle bliżsi niż Palestyńczycy, że łączy ich wspólna historia i że dlatego mają Europejczycy i Amerykanie specjalne zobowiązania wobec Żydów, co wszakże nie powinno prowadzić do niesprawiedliwego traktowania Palestyńczyków). Oczywiście z tekstu Simesa nie ma wynikać, że według „The National Interest” USA nie powinny specjalnie traktować Izraela. Wszakże nie każdy pogląd lobby proizraelskiego ma być przyjmowany przez Amerykę jako polecenie do realizacji (tak jak w kontekście samego Mearsheimera kwartalnik nie wykonał potajemnie wydanego „rozkazu” usunięcia z redakcji czasopism autorów opracowania; o takim nacisku na sponsorów czasopism poinformował w numerze „The American Conservative” z 19 czerwca prof. Michael Desch).

¹¹ ang. *Publisher*.